



Juliusz Verne

Bracia Kip

(Część druga)



ISBN 978-83-64701-11-5 (całość)
ISBN 978-83-64701-13-9 (cz. 2)

JULES VERNE

LES FRÈRES KIP



COLLECTION HETZEL
18 RUE JACOB:18
PARIS

Juliusz Verne



BRACIA KIP

Część druga

Przełożył i przypisami opatrzył Andrzej Zydorczak
Przekład ten poświęcam pamięci mego ukochanego brata Piotrusia.

Ósma publikacja elektroniczna wydawnictwa JAMAKASZ

Tytuł oryginału francuskiego: *Les frères Kip*

© Copyright for the Polish translation by Andrzej Zydorczak, 2011

52 ilustracje i 2 mapki: Léon Benett
(zaczepnięte z XIX-wiecznego wydania francuskiego)

Redakcja i korekta: Marzena Kwietniewska-Talarczyk

Skład: Andrzej Zydorczak

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Patron serii „Biblioteka Andrzeja”:
Polskie Towarzystwo Juliusza Verne’a

Wydanie I

© Wydawca: JAMAKASZ

Ruda Śląska 2014

ISBN 978-83-64701-11-5 (całość)
ISBN 978-83-64701-13-9 (część druga)

Część druga



Rozdział I

Hobart Town

Tasmania, odkryta w roku 1642 przez Abła Tasmana, zroszona w 1772 roku krwią Francuza Marionna du Fresne, odwiedzana w 1784 roku przez Cooka i w 1793 przez D'Entrecastenaux, została w końcu uznana za wyspę przez pana Bassa, chirurga z kolonii australijskiej. Początkowo nosiła nazwę Ziemi van Diemena, na cześć gubernatora Batawii, głównego miasta domeny kolonialnej Holandii w tej części Dalekiego Wschodu.

W roku 1804 Tasmania dostała się pod panowanie Wielkiej Brytanii i w tym samym czasie angielscy emigranci założyli Hobart Town, jej stolicę.

Początkowo Tasmania należała politycznie do Nowej Południowej Walii, jednej z prowincji południowej Australii, od której oddziela ją szeroka na sto pięćdziesiąt mil Cieśnina Bassa, ale później się od niej oddzieliła. Od tego czasu zachowała autonomię, cały czas pozostając w zależności od Korony, jak większość brytyjskich posiadłości zamorskich.

Tasmania jest wyspą prawie trójkątną, którą przecinają czterdziesty trzeci południowy równoleżnik i sto czterdziesty siódmy południk na wschód od Greenwich. Jest rozległa, mierząc mniej więcej sto siedemdziesiąt na sto pięćdziesiąt mil, oraz urodzajna, gdyż plonują tutaj obficie wszystkie rośliny strefy umiarkowanej. Administracyjnie podzielona jest na dziewięć dystryktów i posiada dwa główne miasta: Hobart Town i Launceston¹, dawniej zwane Port Dalrymple. Jedno jest położone na wybrzeżu południowym, drugie na wybrzeżu północnym, a łączy je wspaniała droga, którą wybudowali australijscy skazańcy.

Tak się bowiem złożyło, że pierwszymi mieszkańcami Tasmanii byli deportowani przestępcy, ponieważ zbudowano tu wielkie zakłady karne, jak choćby Port Arthur. Obecnie, dzięki kolonizacyjnemu geniuszowi Anglii, jest to kraina ludzi wolnych, gdzie cywilizacja zapuściła głęboko korzenie i rozkwita teraz tam, gdzie wcześniej panowała kompletna dzikość.

Zresztą w tych rejonach zupełnie zaniknęła ludność tubylcza. W roku 1884 można było zobaczyć jako ciekawostkę etnologiczną ostatniego mieszkańca Tasmanii, albo raczej Tasmankę, bardzo starą kobietę. Z rdzennych czarnych mieszkańców wyspy, głupich i dzikich, należących do najniższego szczebla ludzkości, nie znajdzie się obecnie ani jednego przedstawiciela. Niewątpliwie ten sam los czeka pod potężną ręką Wielkiej Brytanii ich australijskich braci.

Hobart Town zostało zbudowane dziewięć mil od ujścia rzeki Derwent, w głębi małej zatoki Sullivan Cove. Jest rozplanowane w sposób regularny, na wzór miast amerykańskich – może nawet zanadto regularny, wszystkie ulice krzyżują się tu bowiem pod kątem prostym. Za to jego okolice z głębokimi dolinami, gęstymi lasami i dominującymi nad nimi górami są niezwykle malownicze. Ponadto nadzwyczajnie postrzępiona linia brzegowa dookoła Storm Bay, niezliczone zatoczki i cyple wyspy Cookville Island, kapryśne, poszarpane wcięcia Półwyspu Tasmana, wskazują na przemożną i gwałtowną działalność sił tellurycznych podczas okresu formacji plutonicznej².

Port Hobart Town jest dobrze chroniony przed wiatrami od pełnego morza. Wody okoliczne są bardzo głębokie, a miejsce do zakotwiczenia bardzo pewne na całej redzie. Port jest osłaniany przez długie moło, które łamie fale tak, jakby to robił łamacz fal, więc „James Cook” odnalazł swoje stałe miejsce naprzeciw kantoru firmy Hawkinsa.

Hobart Town liczy nie więcej niż dwadzieścia pięć do dwudziestu sześciu tysięcy ludności. Wszyscy się znają w tej społeczności armatorów, handlowców i agentów morskich, najliczniejszej w tym zasadniczo handlowym mieście. I chociaż w tak dynamicznie rozwijającym się mieście bardzo wielkie jest upodobanie do studiów naukowych, artystycznych i literackich, to jakże handel mógłby nie znajdować się na pierwszym miejscu?

Terytorium Tasmanii jest godne uwagi z powodu urodzajności jego ziem i lasów obfitujących w różne gatunki roślinności, które są, rzekłbyś, niewyczerpane. Co do płodów ziemi, która leży na tej samej szerokości geograficznej co Hiszpania na półkuli północnej, to można wymienić zboża, kawę, herbatę, cukier, tytoń, wełnę, bawełnę, wino i piwo. Wszystkie części wyspy są zdadne do hodowli bydła, a taka obfitość produktów hodowli jest tak nieprawdopodobna, iż można powiedzieć, że wystarczyłaby sama Tasmania, by dostarczać

1 Launceston – u Verne'a: Lawnceston.

2 Formacja plutoniczna – formacja geologiczna związana z zastyganiem magmy (płynnych skał) w głębokich warstwach skorupy ziemskiej; u Verne'a w szerszym pojęciu, w powiązaniu ze zjawiskami wulkanicznymi.

konserw dla całej reszty świata.

Pan Hawkins, co było oczywiste, zajmował bardzo poczesną pozycję w wielkim handlu Hobart Town. Jego firma, z którą jako wspólnik i kapitan wielkiego kabotażu był związany pan Gibson, cieszyła się uznaniem i sympatią ogółu. Niestety, które uderzyło w kapitana, zyskało więc bolesny rozgłos i zanim „James Cook” przycumował do nabrzeża, wszyscy mieszkańcy miasta mieli już pewność, że na pokładzie statku doszło do jakiejś tragedii.

Nim jeszcze zasygnalizowano bryg na wysokości Sullivan Cove, jeden z pracowników kantoru poszedł zawiadomić panią Hawkins. Kobieta, w towarzystwie swej przyjaciółki pani Gibson, czym prędzej udała się do portu. Obydwie chciały być na miejscu, gdy tylko „James Cook” przybije do nabrzeża.

Tutaj jednak stało już trochę ludzi wznoszących bolesne okrzyki. Rzeczywiście, nie można było się pomylić: brytyjska flaga, zamiast na końcu gafla, powiewała na znak żałoby w połowie masztu.

Kilku marynarzy, którzy stali przy nabrzeżu, wymieniało następujące uwagi:

- Stało się jakieś nieszczęście...!
- Jakiś marynarz zginął podczas żeglugi!
- Pewnie była to śmierć na morzu...!
- Miejmy nadzieję, że to nie kapitan!
- Czy „James Cook” miał pasażerów?
- Tak... według tego, co się mówi, miał wziąć w Wellington na pokład pana Hawkinsa i Nata Gibsona.
- Czyżby ściągnęli flagę do połowy masztu z powodu śmierci jakiegoś członka załogi...?
- Oczywiście, że tak!

Pani Hawkins i pani Gibson nie znały na tyle dobrze morskich zwyczajów, żeby się zorientować w tym, co zafrapowało ludzi w porcie. Zresztą starano się nie zwracać na to ich uwagi, być może nie chcąc w nich wywoływać zbędnego niepokoju. Gdy jednak bryg stanął już przy nabrzeżu, gdy pani Gibson nie rozpoznała swego męża w kapitanie, który dowodził manewrami, gdy zobaczyła, że jej syn nie rzucił się ku niej, by ją uścisnąć, lecz siedzi na rufie ze smutną twarzą, obawiając się do niej odwrócić, a przy nim, w postawie pełnej bólesci, stoi pan Hawkins, wtedy krzyknęła:

– Harry...! Gdzie jest Harry?!

Chwilę później Nat Gibson był przy niej i przyciskał ją do serca, całując matkę i jednocześnie szlochając. Wówczas zrozumiała, że spotkało ją straszne nieszczęście. Wyszepiała zdławionym głosem kilka słów i była-by upadła, gdyby nie podtrzymał jej pan Hawkins.

- Nie żyje...! – powiedział.
- Nie żyje...? – powtórzyła przerażona pani Hawkins.
- Nie żyje... został zamordowany!

Podprowadzono powóz, do którego położono przy pani Hawkins nieprzytomną panią Gibson. Pan Hawkins i Nat Gibson zajęli miejsca naprzeciwko nich, po czym powóz, omijając port, skierował się do domu, do którego powracał syn, a do którego ojciec już nigdy nie powróci. Nieszczęsna wdowa została przeniesiona do swego pokoju, nie odzyskując przytomności. Minęła co najmniej godzina, zanim mogła odpowiedzieć łzami na łzy syna.

Owa tragiczna wiadomość natychmiast obiegła całe miasto. Konsternacja była wielka i bardzo głęboka, a wszystkich ogarnęło głębokie współczucie dla znanej z prawości rodziny Gibsonów. Zresztą czy jest coś bardziej zasmucającego niż statek wracający do macierzystego portu bez kapitana?

Przed odejściem armator poprosił Karla Kipa, żeby nadal pełnił swoją funkcję podczas rozładunku, aż do rozładowania „Jamesa Cooka”. To miało zająć tylko kilka dni i dwaj bracia mogli pozostać na pokładzie. Wcale im to nie przeszkadzało w poszukiwaniach statku zdążającego do Europy, a pan Hawkins miał ich informować na bieżąco o wszelkich wychodzących jednostkach.

Karl i Pieter Kipowie chętnie przyjęli tę propozycję armatora, który nazajutrz miał ich skontaktować ze swoją firmą handlową.

Pierwszą czynnością Karla Kipa było wezwanie zarządcy portu i podjęcie decyzji, jakie środki powinny być przedsięwzięte w sprawie Fliga Balta i jego wspólników. Urzędnik przybył niebawem i dowiedział się, że na pokładzie brygu miała miejsce rewolta w znanych nam okolicznościach.

- Czy bosman jest zakuty w kajdany? – zapytał.
- Wraz z dwoma marynarzami, których zwerbował w Dunedin – odpowiedział Karl Kip.
- A reszta ludzi...?

– Z wyjątkiem trzech lub czterech, których zwolnię, mogę na nich liczyć.

– Dobrze kapitanie – powiedział oficer. – Przyślę tutaj oddział policji, a buntownicy zostaną zamknięci w portowym więzieniu.

Kwadrans później przybyło kilku policjantów, którzy ustawili się na dziobie, w pobliżu wyjścia z luku. Flig Balt, Len Cannon i Kyle zostali wyciągnięci z ładowni i doprowadzeni na pokład.

Bosman, z zaciśniętymi zębami, nie mówiąc ani słowa, ograniczył się do rzucenia na Karla Kipa spojrzenia pełnego nienawiści i żądy zemsty. Len Cannon, bardziej demonstracyjny, pogroził mu pięścią i obsypał takim potokiem przekleństw, że jeden z policjantów musiał mu zakneblować usta. W tym czasie Vin Mod, schowany za kabestanem, schylił się do ucha Fliga Balta i powiedział mu w taki sposób, żeby nikt nie słyszał:

– Nie wszystko skończone. Róbcie to, co ustaliliśmy. Znajdziemy dokumenty i pieniądze...



[Kup książkę](#)

Oczywiście Vin Mod, mimo środków ostrożności przedsięwziętych po aresztowaniu bosmana, mógł się z nim porozumiewać. Ustalili razem plan, do którego Flig Balt miał się tylko dostosować. Dlatego odpowiedział jedynie skinieniem głowy na te kilka słów wypowiedzianych przez współnika.

Gdy policjanci zamierzali zabrać trzech więźniów, w grupie złożonej z Sextona, Bryce'a i kucharza Koa odezwały się szemrania. Ale te pomruki zostały szybko stłumione i mało brakowało, żeby Karl Kip wysłał ich razem z kompanami. Chwilę później Flig Balt, Len Cannon i Kyle wyszli na nabrzeże i w towarzystwie hałaśliwego tłumu gapiów zostali odprowadzeni do więzienia portowego, gdzie uwięziono ich aż do dnia, kiedy staną przed Sądem Morskim.

Prawie natychmiast po ich odejściu Karl Kip wezwał Vina Moda, Sextona, Bryce'a oraz kucharza, po czym bez zbędnych wyjaśnień zwolnił ich ze służby, z zakazem powrotu pod jakimkolwiek pozorem na pokład. Mogli tylko udać się do biura kantoru Hawkinsa, gdzie miało im zostać wypłacone należne wynagrodzenie.

Vin Mod liczył się z taką decyzją i z pewnością był z tego zadowolony. Zszedł więc do pomieszczenia załogi i wrócił na pokład ze swoim workiem. Jeśli natomiast idzie o Sextona i Bryce'a, to wiemy, w jakich okolicznościach zostali zaokrętowani w Dunedin – żeby umknąć policji po wydarzeniach w tawernie „Three Magpies” – więc całe swe wyposażenie nosili na sobie.

– Chodźcie – powiedział do nich Vin Mod.

Podążyli za marynarzem, który poprowadził ich najpierw do biur armatora, po czym do znajomego właściciela zajazdu, w którym to zajeździe wynajęli we trzech pokój.

Teraz, z Hobbesem, Wickleyem, Burnesem i Jimem, Karl Kip nie musiał się już niczego obawiać. Ci dzielni ludzie wystarczali, żeby zapewnić właściwą służbę na pokładzie. Kiedy zaś wyładują towary na brzeg, „James Cook” zostanie roztaklowany.

Ta noc, którą Nat Gibson spędził przy swej matce, była nie do opisania. Pani Hawkins nie chciała opuścić nieszczęsnej kobiety, bo też jaka opieka byłaby życzliwsza niż opieka bliskich osób, jakie serdeczne słowa bardziej pocieszające! Trzeba było jej opowiedzieć całą tę bolesną historię... Trzeba było jej przedstawić, w jakich okolicznościach został zabity nieszczęsny kapitan, i wyjaśnić, że władze jeszcze nie natrafiły na żaden ślad mordercy. Trzeba było jej wytłumaczyć, w jakim zakątku małego cmentarza na Kerawarze spoczywa jej mąż. Wreszcie trzeba było pokazać fotografię, którą zrobił pan Hawkins... Pani Gibson nalegała na to, żeby ją zobaczyć, więc nie można było odmówić jej prośbie! Kiedy natomiast zobaczyła wierny obraz kapitana, jego pierś rozszarpaną przez ostrze sztyletu, które dotarło aż do serca, jego nadmiernie rozszerzone oczy, których spojrzenie zdawało się skierowane na nią, całkiem się załamała i trzeba było czuwać nad nią przez tę całą niekończącą się noc...!

Następnego dnia wezwano lekarza. Jego starania sprawiły, że pani Gibson nieco się uspokoiła, lecz jakie życie czekało ją w ogarniętym smutkiem domu!

Minęło kilka dni. Pod kierownictwem Karla Kipa zakończono opróżnianie ładowni brygu. Trzysta ton kopry i skrzynie z masą perłową zostały złożone w magazynach kantoru. Obecnie marynarze byli zajęci roztaklowywaniem statku, zdejmowaniem masztów, przemieszczaniem fałów i wykonywaniem bieżących czynności, oraz dokładnym oczyszczaniem ładowni, pomieszczeń załogi, kabiny na rufie i mostka kapitańskiego. „James Cook” miał wyjść w morze dopiero za kilka miesięcy. Następnie, gdy załoga otrzymała swoją wypłatę, poprowadzono bryg w głąb portu, gdzie stał pod nadzorem strażnika.

Bracia Kip mogli się udać na ląd. Nie trzeba też powtarzać, że codziennie kontaktowali się z armatorem, który często zapraszał ich też do swojego domu. Pani Hawkins podzielała sympatię swego męża do nich i starała się ich przyjmować z największą życzliwością.

Pani Gibson nie przyjmowała nikogo, ale jeden lub dwa razy zrobiła wyjątek dla braci, którzy szanując jej boleść, okazywali wobec niej niezmierną wstrzeźliwość. Natomiast Nat Gibson często bywał na pokładzie brygu i łączył się z panem Hawkinsem w podziękowaniach dla braci.

7 stycznia, zanim Karl i Pieter Kipowie opuścili statek, armator przybył naradzić się z nimi nad ich sytuacją i nie należy się dziwić, że wysunął pewne propozycje.

– Panie Karl – powiedział – mogę się tylko cieszyć z waszego oddania i pilności, które okazaliście w tej smutnej sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy. Zawdzięczamy panom zarówno uratowanie statku, jak i całej załogi. Bez waszej pomocy zginęlibyśmy może na zawsze w sztormie na Morzu Koralowym.

– Jestem szczęśliwy, panie Hawkins, że mogłem się panu przysłużyć...

– Jestem panu wdzięczny – mówił dalej armator. – Jeśli więc „James Cook” miałby w przyszłości wypły-

nać, zaproponuję panu jego dowództwo.

– Jest pan zbyt dobry, panie Hawkins, i jestem niezmiernie zaszczycony pańską propozycją. Na pewno nie omieszkałbym jej przyjąć, gdyby nie pilne i poważne sprawy, które zmuszają mnie i mego brata do jak najszybszego wyruszenia do domu.

– Faktycznie, panie Hawkins – dodał Pieter Kip – staramy się dowiedzieć, czy jakiś statek nie zamierza wypłynąć do Europy.

– Rozumiem was, panowie – oświadczył pan Hawkins – ale z prawdziwym smutkiem rozstają się z wami; możliwe, że już nigdy się nie zobaczymy...

– Kto wie, panie Hawkins? – powiedział Karl Kip. – Gdy załatwimy już sprawy w Groningen, gdzie nasza obecność jest konieczna, dlaczego nie mielibyśmy nawiązać stosunków handlowych między naszymi firmami?

– Bardzo tego pragnę – oświadczył armator – i byłbym szczęśliwy, gdyby tak się stało...

– My również – odparł Karl Kip. – Jeśli chodzi o mnie, jak tylko załatwimy w Groningen wszelkie sprawy związane z firmą, zamierzam poszukać statku i być może wrócę do Hobart Town.

– Gdzie przyjmiesz pana jak przyjaciela – zapewnił najserdeczniej pan Hawkins. – Oczywiście jest naturalne i zrozumiałe, że moja kasa pancerna jest dla was otwarta... W katastrofie „Wilhelminy” straciliście wszystko, co posiadaliście, a za wszystko, czego będzie pan potrzebował w Hobart Town, możemy się rozliczyć w późniejszym terminie. Czyż nie tak...?

– Bardzo dziękujemy za pańską życzliwość, panie Hawkins – odparł Karl Kip – i mam nadzieję, że nie będziemy musieli wcale z niej korzystać... Może znajdzie się okazja, żebym znalazł pracę jako zastępca kapitana na statku, który odwiezie nas do Europy, a moje zarobki pokryją koszty podróży mego brata...

– Zgoda, panie Kip, ale jeśli taka okazja się nie nadarzy, proszę pamiętać, że zawsze jestem do waszej dyspozycji.

Obaj bracia odpowiedzieli mu silnym uściskiem dłoni.

– W każdym razie – mówił dalej armator – należy się panu, panie Kip, uposażenie kapitana za ostatnią część rejsu „Jamesa Cooka” i nie zgadzam się na żadną odmowę z pańskiej strony.

– Jak pan sobie życzy, panie Hawkins – odpowiedział Karl Kip – lecz my nie możemy zapomnieć o życzliwym przyjęciu nas na pokład. Postąpił pan w stosunku do dwóch rozbitków jak człowiek o wielkim sercu i cokolwiek się zdarzy, zawsze będziemy pańskimi dłużnikami.

Wówczas pan Hawkins obiecał, że pomoże braciom znaleźć statek. Stale będzie ich informował o spodziewanych wyjściach w morze i robi, co się da, żeby Karl Kip dostał posadę zastępcy dowódcy statku, co umożliwiłoby im powrót do Europy bez proszenia kogokolwiek o pomoc, skoro takie było ich życzenie.

Po dodatkowych gorących zapewnieniach o przyjaźni armator i bracia Kip rozstali się.

Karl i Pieter Kipowie zajęli się teraz wyszukaniem skromnego hotelu, gdzie mieli zamieszkać aż do czasu wypłynięcia z Hobart Town. Był to dla nich pretekst do zwiedzenia miasta, do którego podróże morskie nigdy wcześniej nie zawiadły starszego z braci.

Nie ma wątpliwości, że stolica Tasmanii zasługuje na podziw turystów. Jest to jedno z ładniejszych miast Oceanii należącej do Brytyjczyków. Ma szerokie, przewiewne, dobrze utrzymane ulice. Domki są tu małe, ale ładnie położone i rozweselone zielenią. W mieście nie brakuje skwerów, a nawet ma ono rozległy park o powierzchni czterystu hektarów, z dominującą nad nim od strony zachodniej Górą Wellingtona, której pokryte śniegiem wierzchołki znikają w obłokach chmur.